



GRAHAM
MASTERTON
CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY

Rozdział 1

Smród uderzył ich w chwili, gdy tylko Ciaran otworzył drzwi. Jego potencjalny klient wyciągnął z kieszeni płaszczka zmiętą chusteczkę i zakrył nią nos i usta.

– Święta Mario Matko Boża, jedzie jak jasna cholera – powiedział stłumionym głosem, wskazując palcem ciemny korytarz.

– Daje po nosie, co? – potwierdził Ciaran. – O Jezuu.

– Nie wynajmę lokalu, w którym tak cuchnie. Mówię ci to od razu. Klientom wykrzywiłoby gęby, zanim zdążyliby coś zjeść.

Ciaran zerknął na wyblakły czerwono-zielony napis nad wejściem do sklepu.

– Chyba wiem, skąd ten odór – rzekł i odchrząknął, jakby chciał dodać sobie autorytetu. – Poprzedni najemcy prowadzili węgierskie delikatesy. Widzi pan szyld. „Węgierskie Delikatesy”. Coś mi się zdaje, że zostawili część towaru w zamrażarce, kiedy się wyprowadzali. Minął już z górą miesiąc, a Bord Gáis pewnie odłączył prąd. Zgniła kiełbasa albo coś w tym rodzaju, mogę się założyć.

– Guzik mnie obchodzi, co to jest, chłopcze – odparł klient. – Nawet nie wejdę do środka, żeby go obejrzyć, dopóki nie pozbędziesz się tego fetoru.

– Dobra, panie Rooney, jasne. Ma pan moje pełne zrozumienie. Załatwię problem, nie ma sprawy. A co pan sądzi o lokalizacji?

Klient się rozejrzył. Był to niski facet mniej więcej pięćdziesięcioletni, z szeroką klatką piersiową; miał gęste siwiejące kręcone włosy i głęboko osadzone oczy; jego brodę porastała srebrna szczecina. Był w szarym prochowcu przewiązanym paskiem, który upodabniał go do beczułki piwa.

– Czegoś takiego szukałem, mniej więcej. Będę sprzedawał kebab, curry i rybę z frytkami. – Zamilkł na chwilę i spojrzął na ulicę opadającą stromo w kierunku centrum miasta. Potem się odwrócił. – O Jezu, zamknijże wreszcie te cholerne drzwi.

– Dobra – odrzekł Ciaran, lecz kiedy wyciągał dłoń do klamki, pęk kluczy wypadł mu z ręki na matę. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, był niezgrabnym chudzielcem z krótkimi rudymi włosami, haczykowatym nosem i wściekle zaczerwienionym przyszczem na brodzie. Zawsze był gapowaty, a w biurze obrotu nieruchomości Lisneya pracował dopiero drugi tydzień. Ten klient był trzecim, którego samodzielnie obsługiwał, dlatego czuł się podenerwowany. To że korytarz prowadzący do lokalu przeraźliwie cuchnął, nie polepszało sprawy. Żołądek Ciarana skurczył się i chłopak poczuł smak żółci w gardle.

– Panie Rooney, słowo daję, jutro będzie tutaj posprzątane. To jest superokazja, ma pan tu sklep, kuchnię, magazyn w piwnicy, toaletę na zapleczu, wszystko za dwanaście tysięcy euro rocznie. Wiem, że w śródmieściu jest teraz masa lokali użytkowych do wynajęcia, ale za taką cenę wielu pan nie znajdzie.

Szef Ciarana, Blathnaid, pouczył go, że kiedy zaczęła się recesja, właściciele budynku zeszli z ceny o dwa tysiące euro, a jeśli nie uda się znaleźć wkrótce najemcy, będą musieli ją obniżyć jeszcze bardziej. W tej części Shandon Street wciąż jeszcze pozostało sporo małych firm. Po lewej stronie był

sklep mięsny Denisa Nolana z irlandzką kaszanką i karkówką na wystawie, po prawej kiosk z gazetami Hennessy's, naprzeciwko zaś mieściła się afrykańska restauracja Orosin; jednak idąc dalej, można było zobaczyć wiele witryn zabitych deskami, a te sklepiki, które nadal były otwarte, z trudem wiązały koniec z końcem.

– A lokal przy Ballyhooly Road? – zapytał klient, pociągając nosem. – Wciąż jest do wzięcia?

– Powiem panu szczerze, panie Rooney, że ruch jest tam o wiele mniejszy niż przy Shandon Street. A skoro pan sprzedaje kebaby i curry, nie będzie pan mógł liczyć na tak zróżnicowaną etnicznie klientelę.

– Tak właśnie mówią o Shandon Street, no nie? Że jest jak kufel guinnessa, czarne na dnie i czarne pośrodku, a na górze biel.

Ciaran pominął to milczeniem. Lisney przeszkolił go w kwestii poprawności politycznej, a poza tym specjalnie zabezpieczony zamek w drzwiach był ciasny i chłopak nie mógł przekręcić klucza. Nadal się z nim męczył, gdy nagle usłyszał dziwne wycie – piskliwe, jakby wydobywało się z ust kobiety lub dziecka. A może to był tylko kot. Nie ulegało jednak wątpliwości, że dobiega z wnętrza budynku.

– No dobra, uwijajmy się – rzekł pan Rooney, zerkając na zegarek. – Marnuję czas, a o dwunastej muszę być w Ballincollig.

Ciaran jednak przyłożył ucho do drzwi i wyteżał słuch.

– Mógłby się pan na chwilę uciszyć?

– Do mnie mówisz? – odparł poirytowany klient.

– Przepraszam. Mógłby pan przez chwilę nic nie mówić? Bardzo proszę. Zdawało mi się, że coś usłyszałem.

– Chłopcze, jestem bardzo zajęty i spieszę się.

– Nie, proszę posłuchać! O, teraz! Jakby płacz!

Pan Rooney cmoknął i przewrócił oczami, a potem odwrócił się i podszedł do drzwi. Ulicą toczyła się z łoskotem stara

brudna ciężarówka załadowana pniami drewna i starymi pralkami. Z rury wydechowej buchały spaliny, a z okien kłęby dymu papierosowego.

– Nic a nic nie słyszę – odparł pan Rooney. – Wyobraźnia płata ci figle, chłopcze.

Kiedy jednak ciężarówka dowlekła się do Church Street i hałas z dziurawego tłumika ucichł, z wnętrza budynku dobiegł kolejny okrzyk bólu lub rozpacz. Był tak przeciągły, że zabrzmiał niemal operowo i tym razem obaj go usłyszeli.

– Mówiłeś, że lokal jest wolny – rzekł klient takim tonem, jakby zarzucał Ciaranowi złamanie warunków umowy.

– No bo tak miało być. Dwa górne piętra są wynajmowane osobno, ale o ile mi wiadomo, nikogo tam teraz nie ma.

– Nie za dobrze się orientujesz, co? Chyba musimy wejść do środka i zbadać sytuację.

– Lepiej zadzwonię najpierw do biura – odparł Ciaran.

– Tak, i co to pomoże? Zadzwonił raczej po policję.

Chłopak wahał się przez kilka sekund, a potem znów przekręcił klucz i otworzył frontowe drzwi. Śmierdziało jeszcze bardziej niż za pierwszym razem. Ciaran miał wrażenie, że dostrzega pomarańczowy opar, lecz to było światło wsączające się przez barwny witraż w oknie na półpiętrze.

Duszny fetor dławił go, wypełniał jego nozdrza, gardło i płuca. Przypominał smród szczura, który zdechł kiedyś pod podłogą w domku ciotki Kathleen w Clash, ale ten był sto razy mocniejszy.

Ścianę wąskiego holu oklejono tłoczoną tapetą zamalowaną połyskliwą żółtomusztardową farbą, posadzkę pokrywało wytarte zielone linoleum. Drzwi po lewej stronie prowadziły do sklepu. Stawiły opór, lecz Ciaran pchnął silniej ramieniem i puściły. We wnętrzu panowała ciemność, gdyż okna zakrywały stalowe żaluzje antywłamaniowe. Dwie szafki na artykuły żywnościowe ze szklanymi frontami stały względem

siebie pod kątem prostym, ale szkło pokrył kurz i obie były puste. Na środku wałało się przewrócone drewniane krzeselko, a na ścianie wciąż wisiał podarty plakat z widokiem zamku w Budapeszcie. Poza tym nic nie świadczyło o tym, że w pomieszczeniu znajdowały się kiedyś węgierskie delikatesy. Ciaran uświadomił sobie, że pomylił się, przypisując odór kiełbasie, bo wewnątrz nie cuchnęło tak mocno jak w korytarzu.

– To byłby fajny lokal, gdyby udało ci się jakoś pozbyć tej woni – rzekł pan Rooney, rozglądając się. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej samej chwili znów rozległo się piskliwe wycie przypominające krzyk. Wydawało się, że dochodzi z pomieszczenia nad sklepem; Ciaran usłyszał odgłos ruchu, jakby czyjeś pięty stukwały o podłogę.

Zamilkli obaj, ale pan Rooney wyszedł na korytarz i ruszył schodami na górę, trzymając się chwiejnej poręczy. Ciaran podążył za nim z poczuciem, że jest bardzo niedojrzały. W końcu to on był przedstawicielem biura i powinien wziąć sprawy w swoje ręce.

Dotarli do półpiętra. Światło wpadające przez witrażowe okno malowało plamy na ich twarzach i wyglądali, jakby cierpieli na nieuleczalną chorobę skórą. Po lewej stronie znajdowały się drzwi z obłazącą brązową farbą, a naprzeciwko przybyszów drugie, uchylone. Ciaran zauważył umywalkę z plamami rdzy i staromodną żeliwną wannę z wielkim ciekącym kranem.

– Jest tu kto?! – zawołał pan Rooney. – Pytałem, czy ktoś tu jest? – Ze świstem wciągnął powietrze, lecz zanim zdążył krzyknąć po raz trzeci, zaniósł się kaszlem i rąbnął się dłonią w pierś. – O Jezu, ktoś by pomyślał, że nie rzuciłem palenia.

– Zdaje się, że te krzyki dochodziły stąd. – Ciaran skinieniem głowy wskazał drzwi po lewej stronie.

– No to ruszaj, chłopcze – rzucił pan Rooney, dławiąc kolejne kaszlnięcie. – Nie będziemy tu sterczeć cały zasrany

dzień.

Chłopak ujął bakelitową klamkę i otworzył drzwi. Zastłony były zaciągnięte, toteż nie sposób było zobaczyć, czy w środku ktoś jest, lecz jeśli piskliwe okrzyki nie dochodziły z tego pomieszczenia, to smród z całą pewnością brał się właśnie stamtąd. Ciaran dostał mdłości i wahał się przez chwilę, nim pchnął drzwi. Bał się, że będzie musiał popędzić do toalety i puścić potężnego pawia.

Usłyszał brzęczenie much plujek, a potem jęk i zawodzenie, tym razem w niższej tonacji, jak gdyby ten, kto je wydawał, był bardzo przestraszony. Ciaran zaczerpnął tchu, by się trochę uspokoić, i w tej samej chwili tego pożałował, bo uderzył go odór. Sięgnął ręką do włącznika światła i nacisnął, lecz nic się nie stało. Zapewne, tak jak się domyślał, dostawca odciął dopływ prądu do lokalu.

– A, do cholery – rzucił pan Rooney i wszedł, ocierając się o Ciarana. Podszedł do okna i odciągnął grube zielone kotary; pokój zalało szarawe światło brzasku. Co najmniej kilkanaście much latało i pełzało po szybach.

To, co zobaczyli, osadziło ich w miejscu. Ciaran poczuł, że cała krew spływa mu do stóp. Pomieszczenie było sypialnią, przy ścianie z drzwiami stała fioletowa rozkładana kanapa. Resztę umeblowania stanowił brudny fotel o barwie zboża, tekowy stolik do kawy w kształcie palety malarskiej i tania szafa na wysoki połysk. W rogu obok okna były mała trójkątna umywalka oraz półka z mikrofalówką i plastikowy czajnik w oliwkowym kolorze.

Na ścianie nad kanapą wisiał wyblakły obraz przedstawiający świętego Patryka z białą brodą, który uśmiechał się dobrotliwie, a u jego stóp kłębiły się węże sunące do morza. Na kanapie leżało ciało nagiego czarnoskórego mężczyzny, a przed nim klęczała młoda czarna kobieta patrząca szeroko otwartymi oczami, odziana tylko w purpurowy satynowy stanik. Była tak wychudzona,

że jej ręce i nogi przypominały czarne pogrzebacze, a skóra na brzuchu się fałdowała.

– *Ba a cutar da ni!* – krzyknęła jękliwie, zasłaniając ręką twarz. Jej głos, przenikliwie wysoki, przypominał gwizd. – *Ba a cutar da ni!*

Widok i odór ciała leżącego mężczyzny wprawiły Ciarana i pana Rooneya w szok. Przez kilkanaście sekund żaden nie zdołał wydobyć słowa.

– Święta Mario, Matko Boża – wykrztusił pan Rooney. – Spójrz, w jakim on jest stanie.

Mężczyzna miał obcięte obie dłonie, a koc pod jego nadgarstkami poczerniał od zaschłej krwi. Na kikutach rąk wiły się larwy żerujące na gnijącym mięsie. Jeszcze gorzej wyglądała jego twarz, a raczej to, co z niej zostało. Dolna szczęka z równo przystrzyżoną kozią bródką była nienaruszona, lecz nad nią czerwieniała jedna wielka raniczym karmazynowy kwiat z płatów z mięsa. Tułów tętnił od larw, a nad nim kłębił się rój much składających kolejne jaja.

Jeszcze więcej larw i much pełzało między nogami mężczyzny; były ich dziesiątki. Sprawiały, że wyglądał, jakby nosił ogromną pulsującą pieluchę.

– Wezwij policję, chłopcze – polecił chrapliwym głosem pan Rooney, lecz Ciaran już zdążył wyjąć komórkę i wybierał numer alarmowy sto dwanaście.

Starszy mężczyzna wyciągnął do dziewczyny obie ręce.

– No chodź, nic ci nie zrobimy. Jezu Chryste, co ty tu robisz z tym umarlakiem?

– Wy nie zabijacie – odpowiedziała. – Proszę, wy nie zabijacie.

– Hej, nie zabijemy cię. Dlaczego mielibyśmy cię krzywdzić?

– Proszę, wy nie zabijacie.

– Ależ skąd! Nie zabijemy cię. No, musisz stąd wyjść.

– Lower Shandon Street – mówił Ciaran do komórki. –

Szyl z napisem: Węgierskie Delikatesy. Leżą tu zwłoki czarnego mężczyzny bez części głowy. Jest jakaś dziewczyna, żyje, ale chyba potrzebuje pomocy. Także czarnoskóra. Tak, zgadza się. Nie, nie wygląda na ranną. Tak. Ciaran O'Malley. Tak. – Odwrócił się do pana Rooneya. – Gliniarze już jadą. Powiedzieli, żeby niczego nie dotykać i nie ruszać zwłok.

– Taa... jasne. Wezmę go w ramiona i będę tańczył po pokoju.

– Chyba muszę stąd wyjść. – Ciaran zasłonił twarz dłonią, żeby nie widzieć zwłok na kanapie. – Nie wytrzymam dłużej tego widoku i smrodu. I jeszcze te larwy.

Kiedy wypowiedział słowo „larwy”, usta wypełniły mu się żółcią i oczy zaczęły łzawić.

Pan Rooney rozpiął płaszcz i go zdjął, a potem wyciągnął ręce z okryciem w stronę dziewczyny.

– Załóż to, skarbie. Przynajmniej ty będziesz jakoś wyglądała.

Dziewczyna wysunęła rękę ku oparciu fotela i zdołała dźwignąć się na nogi. Była tak wychudzona, że jej miednica wyglądała jak lemiesz pługa. Pan Rooney nałożył płaszcz na jej kościste ramiona, lecz Ciaran zobaczył, że plecy dziewczyny pokrywają wypukłe ukośne blizny po chłóście albo przypaleniu, albo po jednym i drugim.

Wyszli z pomieszczenia i pomału zeszli po schodach. Kiedy znaleźli się w holu, dziewczyna stanęła.

– *Ba za ta komo, yana ta? Yarinyar?*

– Za cholerę nie wiem, co ty tam świergolisz, maleńka – odparł pan Rooney i mimo że dziewczyna miała bose nogi, wyprowadził ją na ulicę. Spojrzał przez ramię na Ciarana. – Zamknij te drzwi, chłopcze, bo za chwilę cofnie mi się śniadanie.

Zaczęło padać, niezbyt mocno, lecz nawierzchnia jezdni lśniła i słychać było szum wody spływającej do studzienek. Dziewczyna oglądała się raz po raz, bardzo zaniepokojona,

jakby się spodziewała, że lada chwila ktoś się na nią rzuci. W wejściu do punktu loterii naprzeciwko stał czarnoskóry mężczyzna z brudnym czerwonym kapturem na głowie i palił papierosa. Ciaran zauważył, że jego obecność przstraszyła dziewczynę; odwróciła się do niego plecami i podniosła kołnierz płaszcza, by zasłonić twarz.

– Gliny będą tu raz-dwa – rzekł pan Rooney i uspokajającym gestem położył rękę na jej ramieniu. Ona jednak się wzdrygnęła.

– Jak ci na imię? – zapytał. – Jak cię zwa? Rozumiesz po angielsku, prawda?

Skinęła głową.

– Tak, rozumieć. Ta pani nie wrócić?

– Jaka pani?

Dziewczyna wskazała w kierunku pokoju, w którym leżały zwłoki.

– Ta pani zabić Mawakiya.

Ciaran spojrział na pana Rooneya, ten zaś uniósł gęste siwe brwi.

– Twojego faceta wykończyła kobieta? – spytał.

– Miała *bindiga*. Pistolet. Tak. Dwa razy w głowę.

– Nie dziwi mnie to. Widziałem, w jakim był stanie. Twarz wyglądała jak kotlet.

– Zastrzeliła go? – odezwał się Ciaran. – Niesamowite, że nikt nie słyszał strzałów.

– Ech, nic w tym zaskakującego – odparł pan Rooney. – W tym mieście nikt niczego nie słyszy, jeśli nie chce napytać sobie biedy, obojętnie gdzie.

– Znasz tę kobietę? – chciał wiedzieć Ciaran.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie znać jej. Ale mówi, nie ruszać się. Nie ruszać się! Jak wyjdiesz z tego pokoju, będę na ciebie czekać. Zrobię ci tak samo jak Mawakiya.

– Więc dlatego tam zostałeś?

Ponownie skinęła głową, a potem jej dolna warga drgnęła.

– Ja tak się bać... – Zaszlochała. – Ja tak się bać. Ona mówi, jeśli wyjdiesz z pokoju, ja cię zabić jak Mawakiya. Przyrzekam.

– O Jezu – mruknął pan Rooney. – A więc dlatego tam tkwiłaś. Kiedy to się stało? To znaczy, jak długo tam byłaś?

Dziewczyna uniosła trzy długie palce ze srebrnymi pierścionkami. Paznokcie były polakierowane na fioletowy metalik, lecz mocno popękane.

– Trzy dni? O Jezu. I przez cały czas twój facet coraz bardziej cuchnął, a ty nie miałaś nic do jedzenia ani do picia?

– Mam wodę. I ciastka.

– No tak, widok faceta z kawałkiem odstrzelonej głowy nie zaostreza apetytu. Planowałem wybrać się do Ballincollig na bekon z kapustą w White Horse Inn, ale coś mi się zdaje, że przez dłuższy czas nie wezmę niczego do ust.

– A więc, jak masz na imię? – indagował Ciaran. – Skąd jesteś? Od jak dawna przebywasz w Cork?

Spoglądała na niego nad kołnierzem płaszcza pana Rooneya. Jej rzęsy były zlepione żółtą substancją, a lewe oko nabiegło krwią. Nie odpowiedziała, lecz wlepiła w niego wzrok, jak gdyby nie ufała ani jemu, ani nikomu. Jak by już nigdy nie mogła obdarzyć kogokolwiek zaufaniem.

– Nawet mi się nie przedstawisz? – spytał Ciaran. – W takim razie może podasz swój wiek? To możesz mi powiedzieć, prawda? Chyba że nie wiesz?

Dziewczyna uniosła obie dłonie z rozpostartymi palcami. A potem tylko prawą z dwoma zgiętymi.

Ciaran uniósł brwi z niedowierzaniem, więc powtórzyła gest. Dwie dłonie, dziesięć palców, a potem jedna z trzema.

– Matko Boska – rzekł pan Rooney. – Ona ma tylko trzynaście lat.

W tej samej chwili nad wzgórzami na południowym zachodzie mignęła błyskawica. Dziewczyna zakryła usta

dłonią, jakby przed chwilą wypowiedziała najpotworniejsze kłamstwo.

Rozdział 2

Katie weszła do sali przesłuchań. Pomieszczenie prezentowało się ponuro, lecz nie było tak ciemne, by wymagało zapalenia światła. W jednym z foteli od Parkera Knolla stojących po prawej stronie siedziała pani w średnim wieku ubrana w czerwony tweedowy kostium. Miała ufarbowane na rudo włosy, ogniście czerwone policzki i takie zmarszczki wokół ust, jakby w prezencie ślubnym zafundowano jej usunięcie wszystkich zębów.

Uniosła się lekko na widok Katie, ta jednak dała ręką znać, by nie wstawała.

– Mary ó Floinn, pani nadkomisarz – przedstawiła się rudowłosa kobieta scenicznym szeptem. – To ze mną rozmawiała pani przez telefon.

Katie skinęła głową. Bardziej interesowała ją wysoka młoda dziewczynka, która stała przy oknie i wyglądała na ulicę. Szyba upstrzona była kroplami deszczu, a widoczne przez nią ciemne, pokryte dachówką dachy domów błyszczały od wody. Na dole jakiś mężczyzna, okrywszy sobie głowę wiatrówką w kolorze khaki, układał cegły i palił papierosa. Katie nie wiedziała, czy dziewczyna patrzy na niego, czy w przestrzeń.

Z notatek, które dostała z Nasc, wiedziała, że dziewczynka

ma osiem lat, lecz nie wyglądała na więcej niż pięć. Jej kasztanowe włosy były skołtunione, Katie widziała wśród kosmyków brązowe strupy. Była bardzo wychudzona, a jej chudość podkreślała długa szara sukieneczka z bawełny, czysta i dobrze wyprasowana, z różową fałdką z przodu, o dwa rozmiary za duża.

Katie podeszła do okna i stanęła obok dziewczynki. Ta nie skierowała na nią wzroku; dalej gapiła się przez okno. Miała wysokie czoło, mocno zarysowane kości policzkowe i ogromne brązowe oczy. Skojarzyła się Katie z małą czarodziejką z książek, które czytywała jej kiedyś matka. Wyglądałaby jak jedna z nich, gdyby nie zanikające żółte siniaki na lewym policzku i wokół ust oraz purpurowe na szyi, przypominające ślady palców.

– Corina? – odezwała się bardzo łagodnym głosem Katie.

Dziewczynka spojrzała na nią i momentalnie odwróciła głowę.

– Corino, jestem Katie. Dali ci coś do jedzenia?

– Dostała paluszki rybne na lunch – wtrąciła się Mary ó Floinn. – Ale zjadła tylko jednego. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie dali jej więcej niż jednego i bała się, że więcej może zaszkodzić.

Katie długo stała i patrzyła na Corinę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio poczuła taki ból. Musiała odwrócić się od okna, bo miała gulę w gardle i łzy w oczach.

Po chwili przełknęła ślinę i uśmiechnęła się.

– Corino, może usiądziemy sobie tam i porozmawiamy?

Podeszła do zapadniętej rdzawej kanapy po przeciwnej stronie sali i usiadła. Dziewczynka po krótkim zawahaniu podążyła za nią i także usiadła. Głowę trzymała spuszczoną i gapiła się na wykładzinę.

– Masz ochotę na czekoladkę? – zapytała Katie.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Na pewno? Już zjadłaś lunch, prawda, więc teraz wolno.

– Z czekoladą jest pewien kłopot – odezwała się znowu scenicznym szeptem Mary ó Floinn.

– Co to znaczy, „pewien kłopot”?

– Wzięła sobie z lodówki kawałek, malutki, ale Mânios przywalił jej, tak że uderzyła głową o betonowy próg i prawie się udławiła. Więc widzi pani, że mała jest nieco ostrożna, gdy idzie o czekoladę.

– Rozumiem – odparła Katie. Uśmiechnęła się do Coriny, lecz ból skrywany za uśmiechem zamienił się w gniew, jakiego jeszcze nigdy nie czuła. Wyobraziła sobie, że wymaszerowuje z sali, odnajduje Mâniosa Dumitrescu w barze w Cork, w którym tego dnia pije, zapewne w Idle Hour, wyjmuje pistolet kalibru .38 i bez wahania pakuje mu kulkę między oczy.

Rozpięła torebkę i wyjęła batonik Milky Bar, który kupiła po drodze w kiosku.

– Zjemy na spółkę, co? Połowa dla ciebie i połowa dla mnie.

Corina spoglądała na nią myślącymi brązowymi oczami. Po dłuższej chwili skinęła głową.

Kiedy tak siedziały razem, jedząc czekoladowy batonik, Katie zapytała:

– Wiesz, gdzie się urodziłaś?

Corina ponownie pokręciła głową.

– A wiesz, gdzie teraz jesteś?

Tym razem skinęła.

– No gdzie, Corino?

Zamknęła oczy i cichym chrapliwym głosem wyrecytowała:

– St Martha’s Avenue numer trzydzieści siedem, Gurrabraher, Cork, telefon zero dwadzieścia jeden, cztery dziewięć siedem dziewięć dziewięć pięć.

– Dumitrescu przynajmniej postarali się, żeby jej nie stracić – zauważyła Katie. Poczekała chwilę, aż Corina dokończy batonik, a potem otrze usta rąbkiem spódnicy. –

Jak na imię twojej mamie, kochanie?

– Marcela.

– Tak ma na imię kobieta, z którą mieszkasz. Pytam o twoją prawdziwą mamę.

Corina ściągnęła brwi, jakby nie zrozumiała pytania. Katie spojrzała na Mary ó Floinn, a ta wzruszyła ramionami.

– Ona wierzy, że Marcela jest jej prawdziwą matką, proszę pani. Proszę pamiętać, że miała zaledwie trzy lata, kiedy Dumitrescu ją adoptowali. Skontaktowaliśmy się ze służbą społeczną w Bukareszcie, ale liczyliśmy na to, że pani poprosi rumuńską policję, żeby dotarła do jej prawdziwej rodziny.

– Och, na pewno to zrobimy – odparła Katie. – Jest u nich specjalny wydział do spraw handlu ludźmi, tak samo jak u nas. Tymczasem chciałabym przeprowadzić szereg rozmów z Coriną, kiedy uzna pani, że dziewczynka jest gotowa. Nie możemy jednak długo zwlekać. W raporcie podała pani, że Dumitrescu mają dokumenty adopcyjne i już złożyli skargę, by ją odzyskać.

– Ale przecież sąd nie nakaże nam jej oddać, prawda? Proszę tylko na nią spojrzeć.

Katie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Mary. Jeśli nie zdobędziemy naprawdę mocnych dowodów przeciwko nim, niewiele wskóramy. W sprawach imigrantów to ty jesteś najlepszą biegłą. Jeżeli Dumitrescu dorwą ją znowu w swoje łapy, mogą zwinąć manatki i wyjechać do Anglii albo do Rumunii, albo gdziekolwiek, i nigdy więcej jej nie zobaczymy.

– Boże, broń – odrzekła Mary ó Floinn. – Stowarzyszenie do spraw Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Dzieci umieściło ją tymczasem we wspaniałej rodzinie zastępczej w Douglas, u państwa Brennanów. Zawiozę ją tam od razu po spotkaniu. Za dwa, trzy dni, może wcześniej, będzie pani mogła znowu z nią pomówić. Musi pozbyć się strachu, że

dostanie lanie od Dumitrescu, jeśli powie, co jej robili. Podałam pani nazwisko sąsiadki, która do nas zadzwoniła. Nie wiem, czy zechce zeznawać w sądzie, ale może skieruje nas do innych świadków.

Katie ujęła dłoń dziewczynki, uścisnęła ją i uśmiechnęła się.

– Zobaczmy się jeszcze, tak, Corino? Zaopiekują się tobą mili ludzie. Będiesz spała we własnym łóżku, nie będziesz musiała gotować, sprzątać ani zmieniać dzieciom pieluszek. Nie pozwolimy, by Marcela albo Mânios dalej cię bili. Teraz nic ci już nie grozi.

Nie wiedziała, czy dziecko wszystko rozumie, lecz uniosło głowę i uśmiechnęło się szeroko. Katie z bólem serca zobaczyła, że wszystkie zęby ma spróchniałe aż do dziąseł.

Kiedy Corina wkładała czerwoną kurtkę przeciwdeszczową, Katie na korytarzu zamieniła po cichu kilka słów z Mary ó Floinn.

– Brawo, Mary, okazałaś prawdziwą odwagę, pomagając tej dziewczynce. Większość ludzi nie ośmiela się narażać Dumitrescu. Mânios stawał przed sądem trzy razy w ciągu ostatnich czterech lat pod zarzutem napaści i wymuszenia i za każdym razem groził świadkom, że ich potnie nożem albo pobije, więc wszyscy zgodnie z jego życzeniem nagle tracili pamięć.

– Myśli pani, że my w Nasc się nie boimy? – odpowiedziała pytaniem Mary ó Floinn. – Już odebraliśmy parę nieprzyjemnych telefonów od Dumitrescu. Nie było otwartych gróźb. Oni są niebezpieczni, ale nie głupi. Poza tym to nie jest typowa dla nas sprawa. Przeważnie staramy się utrzymywać rumuńskie rodziny w całości, a nie je rozdzielać. Ale koniec końców, tak, wszystko będzie zależało od tego, czy zdoła pani nakłonić Corinę do mówienia i zdobyc zeznania innych świadków. – Po krótkiej pauzie dodała: – Nawiasem mówiąc, nie spodziewałam się, że pani nadkomisarz zjawi się osobiście. Jestem bardzo wdzięczna.